

BIBLIOTECZKA TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW  
JĘZYKA POLSKIEGO NR. 3.

---

20416

I

ANDRZEJ GAWROŃSKI

PROF. UNIW. J. K. WE LWOWIE

# O BŁĘDACH JĘZYKOWYCH

WYDANE Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA W. R. I O. P.

2

GEBETHNER I WOLFF  
WARSZAWA, KRAKÓW, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ  
1921

20416

I.

X-51900
20416 I



450

Jeżeli pytać będziemy z jednej strony ludzi wykształconych, ale nie poświęcających się fachowym studjom językowym, z drugiej zaś językoznawców zawodowych, jaką też przywiązują wagę do sprawy błędów językowych, to można się bodaj założyć, że odpowiedź, o ile ma być krótka i nie wdająca się w długie wywody, wypadnie w obu razach dosyć różnie, często wprost przeciwnie. W oczach człowieka wykształconego, ale nie fachowego, t. zw. poprawność, o ile się przez nią rozumie unikanie błędów, stanowi zazwyczaj wogóle jedyny kąt widzenia, pod którym można rozważać i oceniać zjawiska językowe. Językoznawca skłonny jest raczej całą sprawę lekceważyć; żaden chyba nie traktuje poprawności jako zagadnienia językoznawczego w ścisłym tego słowa znaczeniu. Językoznawcom idzie przedewszystkiem o to, ażeby dane zjawisko językowe zrozumieć, t. j. wykryć czynniki, którym ono zawdzięcza swoje powstanie, oraz ustalić stosunki, które stanowią w danej chwili zakres jego wpływów i zależności, i których układ pozwala w pewnej, słabej zresztą, mierze wnioskować o przyszłych jego losach. Poza to ściśle językoznawczy kąt widzenia nie sięga. Że zaś obu stronom, z tego czy owego stanowiska, zawsze przecie naprawdę i szczerze o ten język idzie, więc nie dziwnego, że się często z sobą nie mogą porozumieć.

Zaproponowałem raz jednemu z naszych sławistów, ażeby też miał odczyt publiczny o błędach językowych. Ale się zaczął zarzekać bardzo energicznie. — Dziękuję, już próbowałem takich rzeczy! Miałem w swoim czasie kursy, na których starałem się wyłożyć sprawę błędów i poprawności. — No, i co? — No, i ten był skutek, że

słuchacze przestali się do mnie zwracać po wskazówki. Z nim niema co gadać, mówili, on na wszystko pozwala. — A tymczasem tak nie było i jak się znamy, tak wiem, że „on“ napewno nie na wszystko pozwalał. Było tylko nieporozumienie, z góry ułatwione i przygotowane przez to, że jedna strona wносиła z sobą przede wszystkim kąt widzenia ściśle naukowy, nie bacząc, że kąt ten leży na zupełnie innej płaszczyźnie, niż ta, z której, mocą wychowania i stosunków, patrzy na te sprawy druga strona, szukająca przede wszystkim jasnej odpowiedzi na pytania czysto praktyczne, które się codzień tysiącom ludzi na myśl nasuwają, a brzmią: czy tak można powiedzieć? albo: jak lepiej powiedzieć?

Zaledwie się zawiązało Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, już członków zarządów zaczęto zasypywać tego rodzaju pytaniami. Nie ulega wątpliwości, że pytania te będą przez bardzo długi czas główną osią stosunku między członkami czynnymi a zwyczajnymi. Zarządy naszych kół poczyniły też odpowiednie przygotowania, ażeby członków swoich w tej mierze zadowolić, udzielając im na zapytania uzasadnionych odpowiedzi. Ale żeby uniknąć ciągłego powracania do ogólnego podkładu, który wszystkim odpowiedziom będzie wspólny, wydało się rzeczą dobrą już jeden z pierwszych tomików „Biblijoteczki“ poświęcić omówieniu sprawy błędów językowych wogóle. Celem niniejszej książeczki jest tedy wytłumaczyć, skąd się wogóle biorą wątpliwości co do tego, jak mówić należy, oraz wyjaśnić ogólne tło, na którym powstaje różnica oceny teoretycznej a praktycznej. Przeczytawszy poniższe wywody, nie znajdzie wprawdzie czytelnik gotowej odpowiedzi na pytanie, jak w danym razie wypada powiedzieć, ale jeżeli ją przeczyta uważnie, wówczas w każdym razie zrozumie, dla-

czego wogóle jedni mówią tak, a drudzy inaczej. A wtedy i samemu łatwiej mu się nieraz przyjdzie zdecydować, i drugich nauczyć się sądzić bezstronnie. Innemi słowy, zbliży się właśnie do tego stanowiska, na którym stoją poważni językoznawcy zawodowi.

Błędy językowe, które jedni drugim wytykać lubią, są, ogółem biorąc, dwojakiego rodzaju. Są jedne, które prostujemy słowami: tak się nie mówi (albo: nie pisze). Są inne, które piętnujemy, dodając: tak nie można powiedzieć. Pierwsze popełniają najczęściej (pominąwszy oczywiście cudzoziemców) dzieci, dorośli zaś wówczas, kiedy nie opanowali wszechstronnie i swobodnie sposobu wyrażania się tej warstwy, do której należą, albo chcą należeć. Jeżeli dziecko powie *spam* zamiast *śnieg*, albo jeżeli człowiek dorosły, nawet bardzo wykształcony, powie w l. mn. *narcyze* i będzie gorąco zapewniał, że nigdy nie słyszał formy *narcyzzy* (choć czytał przecie w Panu Tadeuszu o królikach: Jako *narcyzzy* nagle wykwitłe nad trawą, Biela się długie słuchy), wówczas, poprawiając oboje, dodamy krótko i bez odwołania: tak się nie mówi. Błędy te są błędami przeciw normie językowej. Błędy drugiego rodzaju zdarzają się głównie wtedy, kiedy szukamy nowego wyrazu, zwłaszcza jeżeli go szukamy, jak to mówią, niepotrzebnie, albo (co jeszcze gorzej) jeżeli w pogoni za nowością szukamy natchnienia w obcym języku. Jeżeli np. Sieroszewski, pisarz bardzo świetny ale bardzo niechlujny, zamiast powiedzieć po staremu *żagiel* (co jest zresztą z niemieckiego), mówi *wiatryło* („Ocean“), to chyba każdy z nas zawoła: tak nie można powiedzieć po polsku! boć każdy czuje, że nawet jeżeli już szło o wyszukanie „słowiańskiego“ wyrazu, to *wietrzyło* mogłoby być chyba tylko jakimś *wietrzydłem*. Trudniej już rozstrzygnąć, bez znajomości rze-

czy, czy mają słuszość ci, którzy, zżymając się np. na taką *skrzypaczkę*, albo, inni, na takiego *lotnika*, także twierdzą, że; w ten sposób przecie porządnie po polsku powiedzieć nie można. Tak czy siak, to jedno nie ulega jednakże wątpliwości, że powyższe przykłady kłóć się, przynajmniej zdaniem niektórych, nie z tem co jest, ale z tem co by być mogło lub powinno, a zatem, że o ile mamy w nich widzieć błędy, to przeciw tendencjom rozwojowym języka. A skoro tak, to wypada nasamprzód wyjaśnić, co to jest norma językowa i co należy rozumieć przez tendencje rozwojowe.

A zatem naprzód sprawa normy językowej.

Jeżeli myśląc obrazowo, przedstawimy sobie język danej społeczności, więc np. język polski warstw wykształconych, jako wielki zbiór zjawisk wszelkiego rodzaju (dźwięków, form, zwrotów itp.) poplątanych z sobą, zajmujących pewną przestrzeń i rozwijających się w pewnym przeciągu czasu, wówczas pojęcie normy językowej, panującej w danej chwili w pewnych granicach przestrzennych, da się łatwo unaoecznić jako przekrój poziomy takiego słupa. Przekrój ten przedstawi nam się jako płaszczyzna, usiana niezliczonemi punkcikami, które będą się wiązać w najrozmaitsze linje i figury, bardzo gęsto po środku, coraz rzadziej ku brzegom. Te punkty, to wszelkiego rodzaju zjawiska językowe, a te linje i figury, to skojarzenia, w które się one układają, a raczej, w które się układają psychiczne odpowiedniki zjawisk językowych. Cały ten układ pokaże nam właśnie: jak się mówi w danej chwili i w obrębie pewnej społeczności językowej, czyli, innemi słowy, będzie on graficznym uzmysłowieniem panującej normy. Ale widzimy, że w układzie tym równie ważną rzeczą jak punkciki, czyli same zjawiska językowe, jest także sposób, w jaki



się one z sobą łączą, czyli całość skojarzeń, w jakie wzajemnie wchodzi. Ażeby zrozumieć, w jaki sposób ta całość powstaje, czyli ażeby zrozumieć, na czym polega i od czego zależy norma językowa, trzeba sięgnąć trochę głębiej w istotę języka. ✓

Jednym z najbardziej zasadniczych faktów, rozstrzygających o istocie i rozwoju języka, jest, że język, który najkrócej da się określić jako forma dźwiękowa, artykułowana, treści psychicznej, może istnieć tylko jako funkcja jednostek (bo niema treści psychicznej bez mózgu, a mózgi są tylko jednostkowe, nie wspólne), ale że jednostki, których funkcję on stanowi, muszą być, siłą rzeczy, członkami społeczeństwa i że poprostu pomyśleć się nie dadzą bez tej więzi społecznej, która je wszystkie razem łączy. Między jednostką a społeczeństwem zachodzi nieustanny i nierozzerwalny stosunek wzajemnej zależności; istnieje co najwyżej chwilowa rozłuka czysto fizyczna. Można sobie wyobrazić noc bez gwiazd, nawet gdyby ani jedna chmurka nie zasłaniała nieba: dość bowiem w tym celu pomyśleć, że gwiazdy znalazły się za daleko od nas, jak te, które są niewidzialne gołym okiem, albo że straciły blask, jak te, o których tylko astronomowie wiedzą. Można sobie wyobrazić gwiazdy bez nocy i dość zejść na dno studni, a zresztą taką Wenus widzimy nawet za słońca. Ale nie można sobie wyobrazić społeczeństwa bez jednostek i naodwrot. Ta wzajemna zależność jest to, powtarzam, fakt ogromnej doniosłości dla istoty i rozwoju języka, i dlatego taki na nią kładę nacisk. Z faktu tego bowiem wynika, że w języku jednako ważną rolę odgrywać muszą dwa pierwiastki, albo, jeżeli kto tak woli powiedzieć, czynniki, a mianowicie: pierwiastek jednostkowy czyli indywidualny t. zn. osobniczy, oraz pierwiastek społeczny,

2  
m...

ogólny. Nieraz oceniano te pierwiastki jednostronnie i stąd rodziły się błędne wyobrażenia o języku. Jedni uczeni, którzy, sami będąc indywidualistami, zapatrzili się w pierwiastek jednostkowy, głosili, że język nie jest niczem innym, jak wyrazem, czyli ekspresją, duszy ludzkiej, bez względów ubocznych; tych uczonych było mało. Inni, liczniejsi o wiele, zanadto zwróciwszy uwagę na pierwiastek społeczny, upatrywali w języku poprostu środek porozumiewania się. Wiemy, że na pierwszy sąd piszą się chętnie poeci i beletryści; drugi podzielił przeciętnie tak zwany „człowiek trzeźwy“. Ale oba sądy są błędne w swojej wyłączności. Oba pierwiastki grają w języku równie ważną rolę i nie może być inaczej: bo w tej właśnie równości odzwierciedla się nieuchronny stosunek człowieka do społeczeństwa. Ale skoro tak, to zapytajmy się z kolei, jak się oba te pierwiastki, jednostkowy i społeczny, w języku zaznaczają?

Taką już jest nasza treść psychiczna, że nieustannie dąży do wypowiedzenia się: inaczej niema życia, jest śmierć. Wypowiada się zaś psychika nasza w najrozmaitszych formach, zależnie od tego, które to jej pierwiastki przede wszystkim domagają się wypowiedzenia, a dalej zależnie od tego, na jaki natrafia materiał formalny. Tak np. formą pewnego zestroju pierwiastków psychicznych, w głównej mierze uczuć, ale także skojarzonych z nimi wyobrażeń i pojęć, jest całokształt pewnych obrzędów i instytucyj religijnych; formą innego zespołu pierwiastków jest pewien całokształt urządzeń prawnych; znowu inne pierwiastki, które możemy określić ogólnie jako artystyczne, wyzyskując formy barwne i plastyczne, tworzą sztukę malarską i rzeźbiarską; a jeszcze inną formą treści psychicznej jest muzyka, zasadniczo najbliższa językowi. Ale najpowszechniejszą, najbogatszą,



a zarazem najcodzienniejszą formą, w jaką się domagająca wypowiedzenia treść psychiczna przyodziać może, jest język<sup>1)</sup>. I tu właśnie przechodzimy do roli pierwiastka indywidualnego. Bo oto wszelka psychika jednostkowa, jako swoista całość, będąca wynikiem odrębnego zespołu czynników dziedzicznych i wpływów otoczenia, jest koniecznie i nieuchronnie różną od wszelkiej innej, nawet najbliższej sobie i najpokrewniejszej. Skoro więc uwzględnimy fakt, że treść psychiczna siłą rzeczy domaga się wypowiedzenia w formie zewnętrznej (fakt, który nie ulega najmniejszej wątpliwości, chociaż wyrazić da się tylko w ten obrazowy sposób), wówczas przyjdzie stwierdzić, że w tem właśnie domaganiu objawia się pierwiastek indywidualny, i że o ile to domaganie się zostanie zaspokojone w formie językowej, o tyle właśnie pierwiastek indywidualny w niej się przejawia. Ale jak się przejawia? Oczywiście tak, że postara się treść psychiczną wyrazić inaczej, różnie, niż to czynią drudzy ludzie; w przeciwnym razie nie byłoby przecie żadnej indywidualności. I tak też czynią na wielką skalę wszystkie jednostki silnie indywidualne, przedewszystkiem zaś, rzecz jasna, wielcy poeci i pisarze, którzy formę językową obrali za szczególny wyraz duszy swojej. Ileż to nowych wyrazów, zwrotów i sposobów wnosi do języka każdy wielki pisarz! Jak to każdy z nich umie nadać odrębne piętno swojemu językowi, t. j. pozornie temu

---

1) Niektórzy uczeni, między nimi b. wybitni, nazywają język systemem znaków. Określenie to da się oczywiście b. dobrze uzasadnić, ale się niem nie posługuję, bo trudniej je zastosować do innych form psychiki ludzkiej, jak np. wymienione wyżej, których socjologiczne pokrewieństwo z językiem nie może ulegać wątpliwości.

samemu, którego używają miliony ludzi, a przecie jednemu na świecie! Ale wielcy pisarze są przykładem skrajnym. W rzeczywistości pierwiastek indywidualny przebija się w języku każdego człowieka. Jak niema dwóch jednakowych ustroi psychicznych, tak niema dwóch jednakowych języków osobniczych. Każdy z nas mówi inaczej. Tylko u jednych łatwiej dostrzec różnicę, u drugich trudniej. U jednych jest większa, u drugich mniejsza. U jednych wyraża się w środkach naoczniejszych, u drugich byle czem. A są wreszcie i tacy ludzie (jest ich nawet legion), których różnice indywidualne niedostatecznie zaznaczają się w formie językowej, czy dlatego, że twórczość ich pochłaniają formy inne, czy dlatego, że zbywa im na odpowiedniej energii, czy wreszcie dlatego, że ich sprawność psychiczna jest, z tego czy z innego powodu, słabo rozwinięta, a więc, że są t. zw. naturami biernymi. To są znowu przykłady krańcowe. Zważywszy jednak wszystko, powiedzieć trzeba, że gdyby tak pierwiastkowi indywidualnemu popuścić cugli, to dany język, polski czy inny, rozbiłby się w najkrótszym czasie na szereg języków, jeden drugiemu niezrozumiałych.

Ale to przypuszczenie jest niemożliwe<sup>1)</sup>: staje mu w poprzek drugi pierwiastek, społeczny. Prawda, że wszelka indywidualność domaga się swoistego wyrazu w formie zewnętrznej. Ale i to prawda, że domagając się go, nie przestaje być ani na chwilę nierozzerwalnie spójną z jakimś społeczeństwem, bez którego ani ona sama, ani jej forma pomyśleć się nie dadzą, i którego

---

<sup>1)</sup> Do pewnego stopnia sprawdza się ono na zróżniczkowaniu się każdego języka na gwary, t. zn. języki mniejszych indywidualności etniczno-geograficzno-społecznych. W szczegól wchodzić nie mogą, a są ciekawe.

celom — ona, pani — służyć musi. Nawet najzacieklejszy futurysta, rzekomo gardzący tłumem, spuściłby prędko z tonu, gdyby mu zaaplikowano dożywotnio wyspę Robinsona, z prawem nieograniczonej twórczości, ale bez prawa powrotu i przekazania rękopisów potomności. A cóż dopiero twórcy poważni! Można śpiewać „sobie, a Muzom“, czy „sobie, nie komu“, albo twierdzić (po części z zupełną słuszością), że „das Lied, das aus der Kehle dringt, ist Lohn, der reichlich lohnet“, ale ponoś szczerzej zajrzał sobie w duszę bułgarski Sławejkow, który mówi inaczej:

Kato něma w trud poetu nagrada,  
Cezne pěseň, fantazija otpada.

Skoro zaś tak jest, tedy wszelka indywidualność musi się ostatecznie stosować do poziomu ogólnego. Poziom ten odgrywa rolę niwelatora. Odrzuca te elementy indywidualne, które go wysoko przenoszą, inne ściąga ku sobie, t. zn. podsuwa pod pewne formy treść pospolitszą, niż ta, którą z niemi twórca kojarzył, a wreszcie powoli — bardzo powoli — sam się podnosi ku innym, korzystając z tkwiącej w sobie zdolności rozwoju; ta trzecia możliwość jest tem częstsza, im silniejsza i żywsza spójnia uczuciowa wytworzy się między twórczą jednostką indywidualną, a pozostałemi, ale to osobna sprawa, o którą niżej jeszcze potrączę. I znowuż trzeba powiedzieć, że tak się właśnie dzieje z puścizną językową wielkich pisarzy, których wzięliśny wyżej za przykład. Nie cała treść psychiczna tych ludzi, objawiona w formie, jaką jej nadali (pominąwszy oczywiście elementy wspólne z ogółem), staje się własnością otoczenia. Część ginie bez śladu i znana jest tylko badaczom; część przyjmie się formalnie, ale straci na sile kojarzonej treści, t. zn. powtarzamy pewne np. zwroty i wyrazy, ale w znaczeniu bardzo wyblakłym,

czasem nawet zupełnie różnem; część przyjmie się w pewnej mierze i w pewnych kołach<sup>1)</sup>; a ostatnia wreszcie część — nieznaczną — w całej swej pełni wsiąknie w język współczesnych i mocą skojarzonej treści dźwignie gromadę o piędź wzwyż. Jeżeli przeto powiedziałem, że pierwiastek indywidualny zaznacza się w języku w ten sposób, iż stara się treść psychiczną wyrazić w formie językowej różnej, niż utarta, i dobitniejszej już przez to, że świeżej, to teraz trzeba powiedzieć, że rola pierwiastka społecznego polega na wyrównywaniu różnic, tak nieuniknionem ze względu na istotę społeczeństwa, jak one same są nieuniknione ze względu na istotę jednostki.

Wynikiem ustawicznego ścierania się tych dwóch sił, odśrodkowej i dośrodkowej, jest właśnie norma językowa, którą wyżej uzmysłowiliśmy sobie w sposób obrazowy, jako przekrój poziomy rozwijającego się w czasie i przestrzeni języka. Zarazem widać już stąd, że norma ta jest właściwie czemś nieuchwytnem, boć przekrój taki musi co chwila wypaść inaczej. Istotnie; ale o tem pomó-

<sup>1)</sup> Przykład. W dziele p. t. *Volonté et liberté* (Paryż 1913, str. 132/3) mówi prof. Lutosławski o wyrazie polskim „*Duch*”, dont le sens est loin d'être rendu par les mots correspondants en français, en anglais et en allemand, à savoir *esprit*, *spirit*, *geist*: car aucun de ces mots n'éveille l'idée de hiérarchie, impliquée dans *Duch*. Un *Duch*, c'est tout ce qui reçoit l'inspiration des *Duch* plus élevés, et qui inspire à son tour les êtres inférieurs en relation avec lui, à commencer par ceux qui correspondent à l'apparence de son corps“. Itd. Czy możnaby łączyć taką treść z tym b. starym wyrazem, jeżeli się porządnie przedtem nie rozczytało choćby tylko w Słowackim? Napewno nie.

winy na swoim miejscu. Teraz przejdziemy do tendencyj rozwojowych języka.

Żadne zjawisko językowe nie istnieje oddzielnie; wszystkie się między sobą łączą w jedną swoistą całość. Że zaś każde zjawisko posiada bardzo wiele najrozmaitszych cech, które w tem łączeniu się czyli kojarzeniu pośredniczą, przeto skojarzenia, jakie zawiera z innymi, mogą być także bardzo rozmaite i czasem niespodziewane. Weźmy jakikolwiek wyraz języka polskiego. Będzie on posiadał pewne cechy dźwiękowe: od takich lub innych samogłosek czy spółgłosek się zaczyna, na takie się kończy, jeszcze inne zachodzą wewnątrz. Wszystkie te niepozorne cechy łączą dany wyraz z całemi szeregami innych wyrazów, posiadających te same dźwięki na początku, wewnątrz, albo na końcu. Każdy wyraz wchodzi tym sposobem w skład bardzo wielu grup, połączonych w pamięci wspólnemi cechami dźwiękowemi, czysto zewnętrznemi. Najlepiej widać znaczenie tych dźwiękowych skojarzeń u poetów: w miarę pisania, jakgdyby same z siebie, nasuwały im się szeregi rymów, tem gładziej, im sprawniej działa układ skojarzeniowy. Tak samo kojarzyły się w pamięci wyrazy według początkowych spółgłosek u poetów np. starogermańskich, albo u wielu wschodnich, którzy zamiast rymów posługiwali się alliteracją, i tak samo kojarzą się wyrazy według samogłosek w zgłoskach ostatnich u tych poetów, którzy, jak np. hiszpańscy (zwłaszcza dawni i ludowi) albo węgierscy, używają normalnie asonansów <sup>1)</sup>. O wiele ważniejsze, niż te cechy

<sup>1)</sup> Czasem takie skojarzenie dźwiękowe śmieszy rozbieżnością treści i dlatego właśnie ma powodzenie, np. *Galileja* w znaczeniu *Galicji*. Do ostateczności w tej mierze doszedł w literaturze naszej p. Nowaczyński, ale jego styl to już zja-



dźwiękowe, zewnętrzne, są cechy morfologiczne t. zn. związane z budową wyrazu (np. jednakowe przyrostki. końcówki odmienne itd.), oraz cechy znaczeniowe, czyli semazjologiczne. Ponieważ wszystkie one istnieją w każdym wyrazie współcześnie, przeto możliwość skojarzeń z innymi wyrazami jest wprost nieograniczona, zwłaszcza że się wszelkie cechy mogą kojarzyć, z równymi i różnymi, nie tylko bezpośrednio, ale i pośrednio, jedno przez drugie. W jakiejś powieści angielskiej młodziutka męzatka słyszy nazwisko Pepys. „Co za śmieszne nazwisko! — woła — Przypomina mi niestrawność. Skądże znowu? Ach, prawda, pepsyna“<sup>1)</sup>. Tutaj nazwisko Pepys skojarzyło się w drodze czysto zewnętrznej, dźwiękowej, z pepsyną (sokiem żołądkowym), ale zanim sobie taka żywa dama, która (jak to zwykle u nich) zaczynała gadać, zanim jeszcze skończyła myśleć, uświadomiła ten związek, już się na pierwszy plan wysunęła niestrawność, skojarzona z pepsyną na tle znaczeniowym. Każdy z nas mógłby przytoczyć podobne przykłady z własnych doświadczeń. Dopiero na tle takiego poplątania wszystkich możliwych cech językowych: formalnych i treściowych, dźwiękowych, morfologicznych i znaczeniowych, w jeden wielki układ skojarzeniowy, zrozumiałe są wszelkie zmiany, jakie się w języku dokonywają, czyli, innymi słowy, rozwój języka. W miarę, jak treść psychiczna

wisko, ze stanowiska językoznawczego, patologiczne; znane ono i psychologom.

1) That night Frank came downstairs with a thick well-thumbed volume in his hand: — „This is Mr. Pepys“, said he solemnly. — „What a funny name!“ cried Maude. „It makes me think of indigestion. Why? Oh yes, pepsine, of course“. (A. Conan Doyle, A Duet, Tauchn.-ed., p. 146).



domaga się wypowiedzenia w formie językowej, układ skojarzeniowy pospiesza z pomocą i nasuwa pamięci całe szeregi związanych jakimiś wspólnymi cechami dźwięków, zgłosek, wyrazów, zwrotów, konstrukcyj itp. Zwycięża element najodpowiedniejszy, t. j. ten, który najściślej odpowiada, a raczej może zdaje się odpowiadać, treści; jak zaś zwycięża, o tem jeszcze powiemy. Ponieważ zaś treść psychiczna nieustannie dąży do wypowiedzenia się, i tylko w miarę przewagi pierwiastku indywidualnego albo społecznego, szuka nowych sposobów, albo też zadowala się odtwarzaniem form utartych, przeto płynie stąd oczywisty wniosek, że w zakresie owego układu skojarzeniowego, obejmującego całokształt zjawisk językowych, zachodzić muszą ustawicznie przesunięcia i zmiany. Coraz to inne cechy wiążą się w coraz to inne grupy.

Weźmy przykład. Mamy w języku polskim grupę końcówek imiennych, skojarzoną bardzo blisko na podstawie znaczeniowej. Ale z dawien dawna odziedziczyliśmy nie jedną, lecz kilka odmian imiennych, a w każdej z nich końcówki były nieco różne, jedne niepoczesne, inne długie i wyraziste. Otóż dążność do jak najdobitniejszego wyrażenia treści psychicznej przejawiała się w tem, ażeby znaczenie związane z pewnym przypadkiem oddać najwyrazistszą końcówką z pomiędzy tych, które się mocą najbliższych skojarzeń nasuwały. Że zaś w pewnych przypadkach najwyrazistsze końcówki miały dawne tematy na *-u-*, jak *dom*, *syn*, *wół* (np. *dom-owi*, *wół owi*, *syn-owi*, *syn-owie*, *syn-ów*; nijakich nie było), przeto skutek był ten, że końcówki te rozszerzyły się prawie na wszystkie tematy męskie (pominawszy *-i-*, oraz poniekąd *-jo-*), pomimo, że tematy pierwotne na *-u-* nie liczyły nawet kilkunastu rzeczowników, a więc stanowiły znikomą mniejszość. W ten sposób torowała sobie drogę w języku

tendencja do kojarzenia znaczenia pewnych przypadków w rodzaju męskim z końcówkami *-owi*, *-owie*, *-ów*, jako chwilowo najwyrazistszemi. Ale wszelka wyrazistość ma to do siebie, że z czasem blednie i blaknie. Los ten dotknął z czasem nietylko powyższe, ale prawie wszystkie końcówki imienne wogóle, jako wyrazicielki pewnych wzajemnych stosunków między częściami zdania. Oto w dzisiejszej polszczyźnie zauważyć można, że końcówki przypadkowe zaczynają nam się coraz powszechniej wydawać za słabe, ażeby mogły dobitnie wyrazić odpowiadającą im treść. Toteż coraz naoczniej zaznacza się w języku polskim inna tendencja, a mianowicie wzmacniania przypadków imiennych przez odpowiednie przyimki. Pospolity w XVI w. dopełniacz porównania przy stopniu wyższym przymiotnika (t. j. dawny ablativus, jako punkt wyjścia przy porównaniu) zanikł dziś zupełnie: już nie mówimy *gorszy kogoś*, lecz *gorszy od kogoś*. Celownik jest dziś w okresie zaniku: zastępuje go dopełniacz z przyimkiem *dla*. A zatem tendencja rozwojowa jest to dążność do wyznaczania kierunku, w którym się odbywają zmiany w zakresie pewnej grupy skojarzeniowej, biorąc zaś przedmiotowo, sam ten kierunek. Ponieważ zaś każda taka grupa pozostaje w stosunku współzawisłości, mniej lub więcej ścisłym czy luźnym, do innych grup, przeto kierunek ten jest wypadkową ściągających się wpływów wzajemnych. Oczywiście tendencje takie są najrozmaitsze i jest ich moc; przykład powyższy z zakresu odmiany imiennej zaledwie daje o nich częściowe i najogólniejsze wyobrażenie. Są tendencje bardzo silne i długotrwałe, są słabe, przelotnie zaznaczone; są szeroko rozprzestrzenione na wiele elementów i są inne, ograniczone; są takie, które się zaledwie poczynają i drugie, już zamierające. Wszystkie one wiążą

się z sobą, choć często bardzo nikłemi niemi, i wszystkie one, razem wzięte, dadzą jedną wypadkową, po której się rozwój danego języka porusza. Ale ta wypadkowa jest pojęciem idealnem; uczeni jej wykreślić nie potrafią, bo na to trzebaby znać wszystkie możliwe skojarzenia i umieć wymierzyć siłę, jaką każde z nich w stosunku do drugich posiada, a to jest najzupełniej niemożliwe. Można tylko ogólną tendencję rozwoju w przybliżeniu ująć, o ile się zna historję języka i rozporządza analogjami, i można jeszcze, z pewnemi szansami powodzenia w szczegółach, wnioskować poniekąd o kierunku, jaki w przyszłości przybierze. Dalej nauka nie sięga.

Nie będąc jednak wcale językoznawcą, posiada każdy z nas mniej lub więcej silne poczucie wspólnych członkom swojej warstwy językowo-społecznej tendencji w obrębie pewnych grup skojarzeniowych. To się właśnie zwykło nazywać poczuciem językowym (le sentiment de la langue; das Sprachgefühl). Jeżeli to poczucie pojmiemy w sposób mniej podmiotowy, a bardziej ode-rwany — co nie znaczy, ażeby miało ono przez to stracić swój czysto podmiotowy charakter — i jeżeli równocześnie rozszerzymy je na całość tendencji rozwojowych, wówczas możemy do niego zastosować przenośną i obrazową nazwę Ducha języka (le Génie de la langue; der Sprachgeist). Ale nazwa ta oznacza pojęcie bardzo nieuchwytne, i ci, którzy najgorliwiej niem wojują, napewno nie potrafią go ściśle określić; przytem zacieśniają je najczęściej do własnego, bardzo płytkiego, poczucia językowego.

Rozumie się, że w zakresie tendencji oba wyżej scharakteryzowane pierwiastki, indywidualny i społeczny, zaznaczają się tak samo, jak w zakresie normy. Do pierwszego należy inicjatywa w ciągłym dziele odnowy krzepniejącej formy; drugi wyrównywa różnice, usuwa

wybujałości, dba o zachowanie poziomu, dostępnego ogółowi. W dziedzinie twórczości językowej sprawdza się słuszne spostrzeżenie psychologów, że im indywidualność bujniejsza, tem skojarzenia jej są niezwyklejsze i mniej spodziewane; ale też, dodać możemy, tem rzadziej przechodzą w dobro pospolite. Natomiast skojarzenia nowe, ale łatwo się nasuwające, oczywiste, mają wszelkie szanse powstania jednocześnie w większej ilości jednostek; one to właśnie składają się na tendencje, które bardzo powoli, bardzo nieznacznie, ale bez ustanku i najskuteczniej modyfikują normę.

Tak tedy przedstawia się sprawa normy językowej i tendencyj rozwojowych, przeciw którym, jak się rzekło, zwracają się wszelkie błędy językowe. Dodać tylko jeszcze można, że jeżeli podzieliliśmy sobie błędy językowe na takie dwie grupy, przeciw normie i przeciw tendencjom, to stało się to oczywiście a potiori i gwoili ułatwienia wykładu. W rzeczywistości każdy błąd łączy znamiona obu grup. Wszak wszelkie odstępstwo od normy odbywać się musi, jak już teraz wiemy, po linii pewnych tendencyj; wszystko zaś, co przeciw tendencjom wykracza, zwraca się też przeciw normie, która jest przecież ich koniecznym wynikiem i najwierniejszem w każdej chwili ujęciem.

Ale tutaj zarzuci czytelnik, który wywody moje śledził z uwagą: jakto? jeżeli norma jest niestała — a z przedstawienia powyższego wypływa, że nią jest — i, zasadniczo biorąc, zmieniać się musi co chwila, a tendencje, jeżeli są tak nieuchwytne, że nawet zawodowi uczeni nie umieją ich ściśle określić, wówczas każde bez wyjątku odstępstwo od normy, czyli wogóle wszelka innowacja jest błędem. z drugiej zaś strony najoczywistszy błąd przeciw tendencjom da się obronić w imię

ich nieuchwytności? To prawda. Można by powiedzieć, że błędem jest wszystko i nic. Ale wniosek taki, mimo wszelkie pozory słuszności teoretycznej, załatuje maksymalizmem logicznym, który stoi w niezgodzie z życiem, jak dowiedli Tołstoj i bolszewicy.

Ażeby tedy uzasadnić i określić rozmiary błędu, zobaczymy z kolei, jaką też korekturę wnosi bieg życia w jego ujęcie skrajnie teoretyczne.

Po tem, co się dotąd powiedziało, mógłby sobie kto pomyśleć, że czynności mówienia towarzyszy stale pełnia świadomości formy językowej, czyli, że zawsze wiemy, jak mówimy i dlaczego tak, a nie inaczej. Tymczasem tak wcale nie jest. Do niedawna przyjmowali nawet uczeni bardzo powszechnie, że mówienie, a zatem i rozwój języka, odbywa się z zasady nieświadomie. Na tem stanowisku mogli wygodnie (i owocnie) poświęcać się ścisłym badaniom nad samą formą językową, kokietując bardzo niewinnie psychologiczną, a zwłaszcza socjologiczną, stronę przedmiotu. Ale kto tak czyni, ten wpada z deszczu pod rynnę. W istocie czynności mówienia towarzyszy ciągle falowanie świadomości i bezwiedności w stosunku do formy językowej. Z wywodów dotychczasowych wynika odrazu, że kiedy górę bierze pierwiastek indywidualny, wówczas przeważać musi świadomość. Tak jest, bo wówczas dobieramy środków najodpowiedniejszych do wyrażenia treści psychicznej. (Ale wiemy z psychologii, że wszelka czynność, która się częściej bez zmian powtarza, zwykła się mechanizować. Takiej mechanizacji podlega czynność mówienia w szerokim zakresie. Wygłaszamy wyrazy i zdania, wprowadzicie nie bezmyślnie, owszem celowo, ale tak jak gdybyśmy wypłacali jakieś liczmany czy banknoty, albo przepowiadali tabliczkę mnożenia na sumach miliardowych, bez najmniejszego poczucia ich



wartości, podobnie jak czytamy, nie zdając sobie sprawy z każdej litery z osobna, albo jak zapinamy surdut, nie mając przy każdej dziurce świadomości złożonych ruchów, jakimi wtykamy w nią guzik. W tej mechanizacji mówienia zaznacza się wpływ pierwiastka społecznego. Możliwa jest ona dzięki temu, że język, z natury swojej, jako forma, jest rzeczą martwą, która, nie ożywiona tchnieniem żywej treści, odrazu krzepnie, zupełnie jak te bańki z płynnego szkła, które biorą na siebie coraz to nowe kształty, jak długo robotnik włoski na Murano dmie w rurę powietrze z płuc, ale krzepną z chwilą, kiedy dać przestanie. Toteż mówiąc i pisząc, posługujemy się w szerokich rozmiarach formą językową skrzeplą, która niezupełnie już treści odpowiada, ale jeszcze nie na tyle od niej odbiegła, ażeby budzić indywidualne poczucie konieczności zmiany. Tylko dzięki temu, że język, jako forma, może (bo musi) krzepnąć, kosztować i przystawać za żywą treścią, spełnia on wogóle swą rolę społeczną. Tym sposobem bowiem cała społeczność językowa rozporządza dużym zapasem wyrazów, form, zwrotów i konstrukcyj, wspólnych wszystkim; a choć wcale nie wszyscy łączą z niemi dokładnie tę samą treść (przeciwnie, zawsze są jakieś różnice), to jednak różnice nie sprawiają trudności; zwykle ich się nawet nie widzi. Ale jest rzeczą jasną, że w obrębie owej skrzeplej formy językowej ogromnie łatwo i w wielkich rozmiarach odbywa się mechanizacja czynności mówienia i, oczywiście, także słuchania, t. zn. przyjmowania do wiadomości tego, co mówią drudzy. W ten sposób, wiele istotnych odstępstw od normy przechodzi niepostrzeżenie, t. zn. nie budzi świadomości jakiegś różnicy. Owszem, jeżeli odstępstwa te są nieznaczne, a powszechne, t. zn. jeżeli powstają równocześnie w większej ilości jednostek,



mają one nawet wszelkie dane, ażeby niepostrzeżenie stać się normą. Tak się przeważnie dzieje z temi drobnymi zmianami, które są przyczyną powolnego a ciągłego przekształcania języka. Nikt z ich powodu o błędach nie mówi; nie dostrzegając odstępstw, nie można bowiem mieć poczucia błędu. To jest ta korektywa, którą niwelujący pierwiastek społeczny, przedstawiciel biegu życia praktycznego, wprowadza w teoretyczne pojęcie błędu, jako wszelkiego indywidualnego odstępstwa od normy.

Podobnie zaś ma się rzecz z tendencjami.

Powiedziałem, że wszelkie innowacje, a więc zmiany w chwilowym stanie rzeczy, odbywają się po linii pewnych tendencyj rozwojowych, których kierunek wynika z układu wchodzących w grę skojarzeń. Powiedziałem także, że wszelkie zmiany mają początek w języku jednostek, nawet jeżeli powstając jednocześnie u większej liczby jednostek, łudzą pozorami pochodzenia ogólniejszego. Otóż idzie o to, które z możliwych zmian i dlaczego rodzą się w języku jednostek, a które znowu z tych i dlaczego przyjmują się powszechnie w języku ogółu. Jest bowiem rzeczą jasną, że zmiany takie nie mogą być uznane za błędy, a to dlatego, że ani jednostki ani ogół nie uważają za błąd tego, czego same w języku swoim używają. Weźmy za przykład innowację dość świeżą, a mianowicie wyraz *lotnik*. Potrzeba nowego wyrazu zaszła tu z chwilą zapoznania się z nowem pojęciem. Z wyrazów obcych nie przyjął się żaden, mniejsza o to dlaczego. W zapasie swojskim były dwa szeregi wzorów, jeden — to wyrazy jak: *ochotnik*, *pomocnik*, *porucznik*, *zgonnik*, *zbójnik* itd., drugi — *palacz*, *zamiatacz*, *działacz* itd. W pierwszym szeregu uwydatniała się tendencja nazywania człowieka zajmującego się czemś przez dodanie przyrostka *-nik* do tematu imiennego, w drugim

przez dodanie *-acz* do tematu słów na *-ac*. Tym sposobem wyłoniły się, jako możliwe do przyjęcia, dwa wyrazy: *lotnik* i *latacz*. Ale dlaczego zwyciężył pierwszy? Oto krótko mówiąc dlatego, że był, jak się to zwykło określać, silniej akcentowany uczuciowo. Przyrostek *-nik* nawinął się jednostkom, szukającym nowego wyrazu, w większej liczbie przykładów; był widać bliżej ogniska świadomości; przytem jednym mógł się on nawinąć może prędzej i w chwili większego podniecenia twórczego albo poprostu zainteresowania (a to ogromnie wpływa na akcent uczuciowy), innym mógł się *-acz* wydać jakby troszkę bardziej gminnym, właśnie z powodu jakiegoś *palacza* czy *zamiatacza*, albo wogóle na myśl nie przyjść. Szezegóły już się dziś ustalić nie dadzą, możemy jednak wnioskować o nich analogicznie i, w zasadzie, z wszelką pewnością, obserwując siebie samych w takich momentach szukania nowych wyrazów albo decydowania się na jeden z nich. Jednem słowem, szukającym jednostkom narzucił się *lotnik* z większą siłą. Ogół zaś przyjął go z tych samych powodów: jako wyraz częstszy i normalny. Że zaś wszystkie takie, wyrazom towarzyszące, elementy psychiczne jak poczucie nacisku, częstości, konieczności, modnej nowości itd. nazywamy uczuciami, przeto powiada się, iż wyraz *lotnik* przyjął się dlatego, że był silniej akcentowany uczuciowo. Czynniki uczuciowy jest bowiem nietylko dźwignią twórczości językowej, ale i tą ostateczną przyczyną, która przeważa szalę zwycięstwa jednej formy nad drugą. Pozostaje to prawdą, nie mimo, ale właśnie dlatego, że elementy nacisku itd. mogą podlegać najrozmaitszym wahaniom i że skutkiem tego forma, która uległa w jednym wypadku, może zwyciężyć w drugim.

Ale dlaczego *lotnik* nie został uznany za błąd przeciw

tendencjom rozwojowym, skoro są one różne, a w tym wypadku były nawet tendencje rozbieżne? Dlatego, że (pominąwszy bierność twórczą tłumu) różnice były bardzo nieznaczne i nie dość uwydatnione w porównaniu z silniejszą uczuciowo akcentowaną zgodnością. Najsilniejsze były one u tych jednostek, które wyraz *lotnik* kojarzyły nie z rzeczownikiem *lot* i przyrostkiem *-nik*, lecz z przymiotnikiem *lotny* i przyrostkiem *-ik*. Było to zapatrywanie, teoretycznie równie słuszne, a historycznie prawdziwsze; w dodatku wyraz *lotny* ma dziś znaczenie raczej przenośne („umysł lotny“), skutkiem czego takie np. zdanie z „Hymnu“, jak „widziałem lotne w powietrzu bociany“ robi na nas wrażenie szczególnie poetyczne. Ale daremnie; jednostki te były nieliczne i przekonanie ich nie zdołało zaważyć na szali akcentu uczuciowego w po-czuciu ogółu; przeciwnie, one same ulec musiały niwelującemu wpływowi pierwiastka społecznego <sup>1)</sup>.

Tak zatem zaznacza się w stosunku do tendencji praktyczna korektywa, wniesiona w teoretyczne pojęcie błędu językowego. Razem więc, wszelkie odstępstwo od normy czy od tendencji, jeżeli tylko przechodzi, z tego czy innego powodu, niepostrzeżenie, czyli, jak się wtedy powiada, jeżeli nie razi, nie może być uważane za błąd.

A więc błąd językowy jest pojęciem względnem i poprawność także jest rzeczą względną? Tak jest; i nie może być inaczej, skoro język nie jest czemś stałym, ale, jak już chyba jasno wynika, znajduje się w nieustannym ruchu, zupełnie jak powierzchnia morza, która tylko z daleka oglądana robi wrażenie tafli nieruchomej, ale

<sup>1)</sup> Ślad protestu przekazały przyszości, dwie notatki: w Poradniku Językowym i Języku Polskim z r. 1919.

widziana zbliska przelewa się każdą z niezliczonych kropelek wody. Pozostaje nam tylko określić granice tej względności: co po za nie wykroczy, to już będzie bezwzględnie błędem.

W ostatnich ustępach mówiliśmy o wyrażaniu treści psychicznej w sposób zmechanizowany i o przyjmowaniu innowacyj bez dostrzegania różnic. Zobaczmyż, co się dzieje, jeżeli innowacje, wprowadzone przez jednostkę w skrzepłą formę językową, nie mijają bez wrażenia, ale przeciwnie, silnie pobudzają świadomość otoczenia. Czy wtedy już wszystko razi i czy zawsze już będzie błąd? Bynajmniej. Będzie to zależało od rodzaju tonu i siły akcentu uczuciowego.

Weźmy znowu przykład krańcowy: krótką działalność poetycką Mickiewicza (1822—1834, jeżeli się zamknąć w granicach najważniejszych dat). Kiedy się pojawiły Ballady i Romanse, potem Sonety, Farys, Wallenrod itd., klasycy warszawscy zatrzęśli się z oburzenia. Raził ich w tem wszystkiem nietylko ogólny ton, „romantyczny“, o co mniejsza. Raziły ich także niezliczone błędy stylowe i językowe. I gdyby tak wziąć rzeczy czysto logicznie, to mieli rację. Wszak Mickiewicz był młodym innowatorem, prowincjonalnym poetą z Białej Rusi, który nigdy w życiu o Warszawę nie zawadził, oni zaś byli przedstawicielami najoświecześniejszych warstw społeczeństwa, które świeżo właśnie zdobyły się na bardzo gruntowne odnowienie literatury i oczyszczenie języka, wydały między innymi takich wytwornych władców mowy ojczystej, jak Krasicki albo (podziwiany przez samego Mickiewicza) Trembecki, i miały chyba — jeżeli kto — prawo rozstrzygania o normie językowej. Wszystko daremnie! Siła geniuszu Mickiewicza i ta potężna, miłość Ojczyzny, która go umiała natchnąć do Improwizacji

stworzyły w lot taką nierozzerwalną spójnię uczuciową między nim a narodem, że wszelkie innowacje stylistyczne i językowe, jakie rzucał w tłum, okazały się odrazu, siłą rzeczy, daleko mocniej akcentowane uczuciowo, niż recepty warszawskich arbitrów elegancji. I dlatego zwyciężyły; oczywiście nie wszystkie, ale, ogółem biorąc, zwyciężyły nad normą uczonych klasyków, nad ich tendencjami i poczuciem językowym. Innemi słowy, to, co nosiło wszelkie niewątpliwe znamiona błędu, przestało nim być dzięki silniejszemu akcentowi uczuciowemu, choć różnice były w oczy. To jest, powtarzam, przykład skrajny. Zwyczajnie akcent uczuciowy nie jest tak silny, ażeby zwyciężał wstępnym bojem na tak wielką skalę; często natomiast zwycięża w ten sposób w mniejszym zakresie. Ale zasada pozostaje ta sama, tyle, że zwycięstwo przychodzi po walce. Potem prąd niwelacyjny zatacza coraz szersze kręgi, podając nowe formy, wyrazy i zwroty bierniejszym tłumom; jednocześnie zaś działa mechanizacja. Więc chociaż dzisiaj niepodobna, wobec zupełnego braku monografij, ściśle określić wpływ takiego Mickiewicza na nasz język codzienny, żywy czy pisany, niemniej zapewne twierdzić można, że jeżeli ten język różni się naogół o wiele silniej od języka wieku XVIII, aniżeli tenże (szczególnie przed Stanisławem Augustem) od języka w. XVII, a nawet XVI, to powód leży w działalności Mickiewicza i innych wielkich pisarzy, ale nie w tem, jakobyśmy Polacy, jako masa społeczna, poczynili jakieś szczególne postępy w ostatnich stu latach i więcej; bo to, co się dziś dzieje, nie pozwala twierdzić, że nasza dojrzałość polityczna u góry, a poczucie obowiązku u dołu, równie znacznie się od czasów saskich wyrobiły, jak — nasz język.

Wiemy już teraz dosyć, ażeby wysnuć ostateczne



wnioski. Trzeba tylko uprzytomnić sobie wszystkie momenty, które w grę wchodzi.

1. Skoro przez błąd rozumieć należy wszelką zmianę, odstępującą od normy, albo sprzeciwiającą się tendencjom rozwojowym, przeto, teoretycznie biorąc, błędem jest wogóle każda zmiana, bowiem, jako wychodząca od jednostki, odstępuje od normy przeciętnej, a jako wynikła z układu tendencji, właściwego jednostce, sprzeciwia się zawsze jakimś innym. Ale równie dobrze powiedzieć można, że w takim razie błąd wogóle nie istnieje, istnieją bowiem tylko zmiany, zawsze uzasadnione, chociażby tylko ze stanowiska jednostkowego. I pod tym kątem widzenia patrzą zazwyczaj na błąd uczeni, jak długo idzie im tylko o zrozumienie danej zmiany, nie zaś o stronę praktyczną zagadnienia.

Parę przykładów objaśni tę różnicę stanowiska językoznawców, a ludzi w sprawach języka nie fachowych. Mamy imiona własne *Gołąb*, *Wąż*, *Koziół* i podobne. Jak je odmieniać? *Gołębia*, *Kozła* — czy *Gołąba*, *Koziółta*? Jedni, zwłaszcza właściciele tych nazwisk, używają tych drugich form; inni, zwłaszcza kto liźnął szkolnej gramatyki, domagają się pierwszych, a formy *Gołąba*, *Koziółta* piętnują jako błędy przeciw gramatyce, historii, a nawet mitycznemu Duchowi języka. A cóż robi językoznawca? Przedewszystkiem zapyta, skąd się wzięła różnica formalna. Oto stąd, że i w treści psychicznej, którą z temi wyrazami łączymy, jest także różnica. Wszak taki np. *Gołąb* przez *G* nie jest wcale gołębiem, ani żona jego i córka gołębicą czy gołąbką. Tę właśnie różnicę stara się język zaznaczyć w samej formie z pomocą takich środków, jakie ma do rozporządzenia. Jest to tendencja bardzo rozpowszechniona. W mniej wyraźnych wypadkach już i u nas zwyciężyła: przecie chyba wszyscy rozró-



zniamy między np. *datem mleka kotu* a *książkę Kotowi*. Podobnie mówi się np. po rosyjsku *łubow* — *łubwi*, ale *L'ubow* — *L'ubowi*. Jeszcze więcej przykładów przychodzi mi na myśl z ormiańskiego. W staroorm. mówiło się *hayr* 'ojciec', *haur* 'ojca', ale ten sam wyraz jako imię własne odmieniał się *Hayr*, *Hayri*; albo *waraz*, *warazi* 'dzik, dzika', ale *Waraz*, *Warazay*; w nowoorm. (narzecze wschodnie) wyraz *haruthjun* 'zmartwychwstanie' używa się także jako imię własne, mówi się tedy *haruthjan ory* 'dzień zmartwychwstania', ale np. *Haruthjuni girkhy* 'książka Haruthjun'. W węgierskim np. a *Vörösmarty Cserhalomja* (a nie *Cserhalma*) 'poemat V-ego p. t. Cserhalom'. Inne przykłady tej samej w zasadzie tendencji: *monsieur le duc* i *madame la duchesse*, ale *M. Leduc* i *M-me Leduc*, albo (das) *Deutschland* 'Niemcy', ale *die „Deutschland“*, okręt tej nazwy. Wreszcie w samej pisowni *Koziell* przez *ll* uwydatnia się różnica. Wszystko to językoznawca widzi i dlatego, rozumiejąc, skąd się różnica bierze i co każda forma, dawniejsza i nowsza, ma na swoje uzasadnienie, może obie wyjaśnić, ale nie może żadnej potępić. — Drugi przykład. Od *Ryga*, *Praga* itd. mówi się *ryski*, *praski* itd.; te formy, zdaje się, jeszcze przeważają; ale spotyka się już coraz częściej, w słowie, a zwłaszcza w druku, przymiotniki *rygski*, *pragski*. Ś. p. Ochorowicz uczynił nawet z tego powodu przypadkowo niesłuszny zarzut naszej prasie, powiadając, że „nasze zruszczone dziennikarstwo pisze *ryskim* zam. *rygskim*, jakby to pochodziło od *rysa*, nie od *Ryga*. I tak samo pisze *praski* zam. *pragski*, jakby to pochodziło od *prasa*“<sup>1)</sup>. Ale słowa przytoczone świadczą

<sup>1)</sup> Psychologia — Pedagogika — Etyka, Warszawa 1917, str. 269. Nawiasem mówiąc, przymiotnik od *rysa* jest nieużywany, a od *prasa* brzmi *prasowy*.



jedynie, że można być jednym z najzdolniejszych Polaków swego wieku (niedocenianym we własnym kraju za życia, a ośmieszanym po śmierci przez p. Habdanką), równocześnie zaś nie mieć najmniejszego pojęcia o językoznawstwie. Bo cóż znaczy w istocie różnica tych form? Mieliliśmy pierwotnie przyrostek *-isko-*, przed którym musiało *g* (z powodu *i*) przejść w *ż*, a potem (po zatracie *i*) upodobnić się w wymowie do *s*; stąd najpoprawniejsze w świecie formy *ryski*, *praski* i inne, utworzone tak samo, jak *boski* od *boga*. Ale że dziś przyrostek poczuwamy jako *-ski*, więc skutkiem bardzo powszechnej tendencji do uwydatnienia przyrostka w stosunku do rdzenia wyrazu, szerzą się formy *rygski*, *pragski*, *norwowski* itd., równie dobrze uzasadnione na tle obecnych stosunków językowych, jak tamte na tle historii języka. Bodaj, że pierwszym przykładem takiej formy jest nazwisko książąt *Ostrogskich*; *Ostroski* (od *Ostroga*) nie dałby się w wymowie odróżnić od bardzo pospolitego *Ostrowskiego*, *Ostroskiego* (od *Ostrowa*). Ale dlaczegoż *boski* a nigdy *bogski*? Bo to jest wyraz dziedzicznie i mechanicznie co dzień powtarzany, podczas kiedy przymiotniki jak *rygski* tworzy się raczej za każdym razem na nowo, od swoich rzeczowników, przyczem wpływ odrębnie poczuwanego przyrostka *-ski* jest u ludzi, którzy tak mówią, silniejszy, niż wpływ analogji z *boskim*; po każdej powszechniejszej zmianie językowej pozostaje pewne takie residuum form dawniejszych, jak *boski*: są to wówczas t. zw. w gramatyce wyjątki. — Dość tych przykładów. Były one umyślnie obszerniej przedstawione, ażeby umożliwić zrozumienie stanowiska czysto naukowego: stara się ono we wszelkiej zmianie zrozumieć jednostkowy punkt wyjścia.

2. Ale obok jednostkowego punktu wyjścia danej zmiany trzeba brać pod uwagę kręgi, jakie ona zatacza

w pewnej społeczności językowej. Jest to stanowisko, które jedynie wchodzi praktycznie w rachubę przy ocenie błędu, ponieważ czyściciele języka nie to nazywają błędem, co sobie wynalazł p. X. pro foro interno, ale to tylko, co szerzy słowem i pismem, a co odbiega od ich pojęcia o normie językowej i sprzeciwia się ich tendencjom rozwojowym. o ile je bezwiednie przeczuwają.

a) Zajmując to drugie stanowisko, powiedzieć wypada przedewszystkiem, że za błąd nie można uważać żadnych takich zmian czy innowacyj, które odrazu ogarniają ogół, albo przynajmniej jego większość: sąd przeciwny. ujemny, byłby tu wprost sprzeczny ze stanowiskiem społecznym; jest on możliwy tylko ze stanowiska jednostkowego, ale też wtedy jest wyrazem osobistego widzimisię. Dzisiaj mówi się *lotnik* i zupełnie płony jest sprzeciw ludzi, którzy widzą w tem błąd, a za poprawną formę uważają *latacza*.

b) Ale jeżeli nowa forma walczy z dawną, albo kilka nowych z sobą? W takim razie trzeba wyrok zawiesić: dochodzenie jeszcze nie zakończone. Zwycięży forma silniej akcentowana uczuciowo, ale która to z nich była, dowiemy się dopiero po harapie. Póki walka trwa, obie mogą być uważane za błędy — ale wyłącznie przez przeciwników. skoro im to przyjemność sprawia. Tylko, że tego rodzaju autorytatywny a przedwczesny sąd nie przekona drugiej strony. która na swoje poparcie ma także argumenty, jej zdaniem lepsze; niech rozsądzi czas. Podam przykład. W jednym z naszych miesięczników wytknął, bardzo niedawno. b. profesor literatury polskiej takiemuż profesorowi rzekomo błędną formę *nastroi*, która jest jednak odwiecznie poprawną. Prawda, że dziś w tych tematach zwycięża analogiczna końcówka *-ów* (p. str. 15), ale dotąd nie zwyciężyła, jak świadczy choćby tak jeszcze

częste *pókoj*, spotykane codzień w gazetach, w dziale ogłoszeń. A zresztą mówiliśmy już nawet *trosków*, a wrócili do *trosk*. Więc zawczasie zarzucać błąd, zwłaszcza człowiekowi staremu; doba jest przejściowa. Albo. drugi przykład, takie *ministerstwo*. Niewątpliwie starsze prawo obywatelstwa w języku ma *ministerjum*, żywcem wzięte z łaciny. Ale *ministerstwo*, wytykane przez wielu Warszawiaków z zaciekleścią godną lepszej sprawy b. Galicjanom, którzy tej formy jednak używali rzadko i zwykli ją nawzajem (nawet z częściowem prawdopodobieństwem) pomawiać o pochodzenie rosyjskie, ma jednakowoż bardzo silne analogje w takich wyrazach jak np. *starostwo* i można mu wróżyć prawie pewne zwycięstwo, odkąd sankcja urzędowa przydała mu bardzo silnego tonu uczuciowego. Więc choć sam mówię tylko *ministerjum*, stwierdzić muszę bezstronnie, że jeżeli ta forma jeszcze nie jest błędem, to *ministerstwo* nie jest nim wogóle. Tego rodzaju dublety istnieją w każdym okresie każdego języka. Mogą to być formy starsze i młodsze, albo formy lokalne; mogą być słabsze i silniejsze, albo równej siły. Toczy się między niemi walka.

c) A wreszcie, jeżeli w tej walce za jedną z form opowie się nieodwołalnie przeważna większość, wówczas mniejszość, bez względu na swoje argumenty, teoretycznie słuszne, w danej chwili, w stosunku do stanowiska większości, popełnia błąd, który wolno jej wytknąć i poprawić w słowie i druku. Więc np. forma *szkandal*, używana jeszcze we Lwowie i b. Galicji Wschodniej, jest w stosunku do ogólnopolskiego *skandalu* niewątpliwym błędem, pomimo że jest, historycznie biorąc, najzupełniej uzasadnioną (jak *szkarłat*, *szkatuła* itp.) i że dawniej panowała powszechnie. Ale wszystko to jej nie pomoże; zwyciężył *skandal*, najpewniej pod wpływem nałogów

wymowy francuskiej, które w swoim czasie przechyliły szalę akcentu uczuciowego. Podobnie historycznie poprawne *sz* zawiera *szkarpetka*, którą jednak — zdaje się — trudno jeszcze za błąd uważać, choć ją coraz ogólniej wypiera *skarpetka*. Powie kto: ale to są zwykłe провинциализмы? Właśnie; to co się pospolicie za błąd uważa, najczęściej bywa lokalnym sposobem mówienia. Tylko oczywiście, w stosunku do normy językowej, провинциализмами może grzeszyć i stolica. Trudno nie uznać za błędną, ze stanowiska języka ogólnopolskiego warstw wykształconych, wymowy *drzwiamy* i *oknamy*, *rękamy* i *nogamy*, chociaż formy te słychać nawet w ministerjach warszawskich i to bynajmniej nie tylko z ust woźnych.

Możnaby także, dla ścisłości, odróżnić błędy przeciw językowi pisanemu od błędów przeciw mowie żywej. Pierwsze łatwiej ustalić, bo norma pisana jest trwalsza i wyraźniejsza. Jest więc, dziś jeszcze, błędem napisać *go* zamiast *je* w bierniku l. poj. rodz. nij. Ale powiedzieć np. *zamówilem ubranie i zapłaciłem za niego* — czy to błąd? Tak mówią już prawie wszyscy, a nieliczne wyjątki (ja sam wśród nich) są pod wpływem języka książkowego. Z czasem ta błędna forma napewne zwycięży. I niema się czem martwić. Gdybyśmy nie robili błędów, język by się nie rozwijał; to nie paradoks, tylko święta prawda.

Tak się przedstawia ogólne tło sprawy błędów językowych <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Może kto z czytelników fachowych zdziwi się w pierwszej chwili, że nie mówiłem o t. zw. celowości jako sprawdzanie błędów. W istocie pod płaszczykiem tego terminu ukrywa się nieświadome odczucie silniejszego tonu uczuciowego wyrokujaćej jednostki.



Czytelnicy Horacego lubią się powoływać, w rozmowie o błędach językowych, na zasadę tego poety. wedle której trzeba się zgodzić na wszystko *si volet usus/quem penes arbitrium est et ius et norma loquendi* (Ad Pisones, 71/72). Widzimy obecnie, że jeżeli idzie o błędy, to miał Horacy słuszość w połowie, bo *usus*, tj. utarty sposób mówienia, składający się właśnie na normę ogólną, rozstrzyga o błędach tylko przeciw normie, ale nie przeciw tendencjom; a i to, o ile się rzeczywiście utarł. Pod tym zaś względem w języku polskim panuje duża swoboda. U nas norma językowa, nawet pisana, jest o wiele, ale to o wiele, mniej stałą, niż w języku np. francuskim albo angielskim. Ma to swoje dobre strony, zwłaszcza ze stanowiska artystycznego, ale ma i złe. Bo jednak ta norma posiada ogromne znaczenie cywilizacyjne i narodowe, wtedy szczególnie, jeżeli naród, jak nasz, żyje pomieszany z innymi i na rozległych kresach toczy poprostu walkę o język i o byt. A im norma silniejsza, tem mniejsza rozbieżność w tendencjach. Więc i zainteresowanie się sprawą błędów językowych, dość u nas wyraźne, choć naogół bardzo naiwne, jest jednak zjawiskiem dodatniem. Trzeba tylko zdać sobie sprawę z samej istoty błędu.

